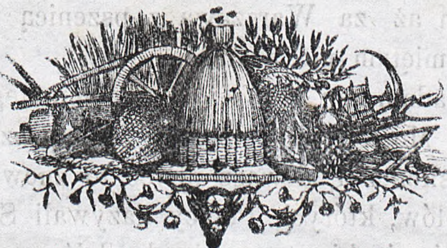
Tom XVII.  **Nr. 17.**

11. grudnia **1867.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Walek Kot, borowy, potem pan polski.

Niedaleko Sandomierza w naszej Galicji, koło Wisły, stoi gromada polska Wola Kotowa między piaskami i lasami, a grunta ma bardzo dobre, nawet dobry pan dał gromadzie spory kawał lasu i wiele pastwiska. Ta gromada fundowała razem z dworem szkołę nową, a choć nie ma ani stu numerów we wsi, to gospodarze z ochotą szkołę postawili z młyna, który im pan podarował.

Do tej szkoły poszedłem ja raz koło południa, aby pouczyć dzieci i przypatrzyć się nauce ich. Idąc drogą obaczyłem staruszka Krzycha Stępnia, który ma mieć do dziewięćdziesiąt lat teraz. Powitaliśmy się najprzód po bożemu, a potem gadaliśmy to o tem, to owem, aż ja pytam:

— A co Krzychu, pamiętacie wy dawne czasy jeszcze za królów polskich?

— A cobym nie pamiętał, ale pono był to już ostatni król, powiada Krzych.

— A czy pamiętacie ojca albo dziadka waszego? pytałem dalej.

— Ojca zapamiętałem dobrze, rzecze Krzych, nawet byłem raz z nim aż za Warszawą z pszenicą na sprzedaż, ale dziadka nie pamiętam nic a nic.

— No! gadam mu, to wy pamiętacie tego króla, co dał Polskę zabrać Moskalowi i potem sam poszedł do Moskala i tam marnie skończył, a wasz ojciec to znowu zapamiętał dawniejszych królów, których Polacy nazywali Sasami, bo pochodzili z kraju niemieckiego, co się do dziś zowie Sasy.

— A samą prawdę mówicie Jegomość, gadał Krzych stary, bo ojciec mój opowiadał nie raz, że jeden taki król Sas był tu w naszych lasach na polowaniu, a tu na tem miejscu nie było tyle chałup, co dziś — tam w lesie była leśniczówka gdzie siedział leśny króla, co go nazywali borowy królewski.

— Ba! a jakimże to sposobem stanęła ta gromada, jeżeli tu nie było za ojca waszego chałup, jeno stała w lesie leśniczówka? a znowu jakże to było, że te lasy królów polskich przeszły dziś na dwory? pytałem

Stary Krzych powiada:

— Jeżeli Jegomość pofatygujecie się trochę, to ja pokażę jeszcze dęba starego, na którym stoi rok, kiedy tu był król polski.

— A dobrze! mój dobry staruszku, ja idę zaraz z wami.

I poszliśmy oba w las dębowy. Idziemy i gadamy, aż zaszliśmy do jednego dęba, na którym stał napis taki:

Roku pańskiego 1750 koło świętego Marcina polował tu król polski.

— A prawda! mówię ja, to był akuratnie król Sas i to August, trzeci król polski tego imienia.

— A czy tu na tym dębie nie stoi już nic więcej? pytał Krzych.

Obejrzałem dęba naokolusieńko i powiadam:

— Nie ma nic więcej — ale cóżby to miało być tak ciekawego?

— O! bardzo ciekawe, rzecze Krzych, bo tu była leśniczówka króla tego, a te lasy het naokoło należały do królów

polskich, i to się nazywało puszcza sandomierska; tu nie było wsi jak teraz, jeno siedział tu sam leśny z ojca pradziada chłop, bo kto inny z panów nie chciałby tu siedzieć między takiemi piaskami i łąsami, a nie było pono wtedy ani Rozwadowa jak teraz, jeno Sandomierz za Wisłą zaraz, ani nie było tej wsi, co się teraz zowie Kotowa Wola, jeno zabudowania tego borowego.

— No! mówię ja, takie leśniczówki są wszędzie po lasach, gdzie siedzą najczęściej borowi.

— Ba; ale żadnego borowego nie spotkało takie szczęście, jak tego Walka Kota, powiada Krzych.

— A cóż tam takiego miał ten Walek? pytam ja ciekawy.

— Jak król tu polował, powiada Krzych, to nastrzelali tu tyle lisów, zajęcy, jakichś byków, sarn, dzików, że król uradowany zawołał tego Walka Kota do siebie i powiada mu przy wszystkich panach: no! Walku Kocie! za wierność twego dziadka, ojca i za twoją wysługę dobrą w tych lasach naszych, daruję ci tu przy tych panach ten las milę na długość i szerokość; ta leśniczówka będzie teraz twoim dworem, a od tego dworu te pola będą dla ciebie i dla twych dzieci na wieczne czasy. A ty Kocie nazywać się będziesz teraz Kotoski, a z chłopa robiemy cię szlachcicem i panem tego lasu i tego pola piaskowego, a wy panowie macie nazywać go pan brat Kotoski i zaraz na sejmie w Warszawie wpiszecie go na wieczne czasy do książki samych panów polskich.

— A to doprawdy ciekawa rzecz, powiadam ja do Krzycha, że to i w tych stronach powychodzili niektórzy chłopi na panów, a mało kto o tem wie; ale cóż się stało z tym Walkiem panem Kotoskim? może się sponiewierał i zrobił się ladaco jaki, może potem puszył się i gardził drugimi chłopami? bo to jak jeno chłop nasz przypnie jakie jaśniaki na koszulę i obuje świecące buty i założy czapczynę miejską na głowę, to nie gadaj do niego i nie przystępuj bez kija.

— Uchowaj Boże! gada Krzych, ten Walek spanoszony zwołał zaraz z bliskich gromad dużo ludzi do siebie, podawał każdemu zagony i łąki, dawał im drzewo na chałupy i zaczęła się stawiać nowa gromada koło tej leśniczówki i tę nową gromadę

tu, gdzie Jegomość widzą, nazwał ten pan Walek Kotoski na pamiątkę, jak on się sam nazywał, od Kota, Wolą — Kotową, i tak do dziś zowie się i pisze ta gromada nasza, która należy do parafii zaleszańskiej zaraz od samego początku.

— To wy Krzychu, powiadam na to, musicie pamiętać, jak się ta gromada coraz więcej stawiała i te lasy wycinała i zagony sobie robiła i ogrody? a może zapamiętaliście tego Walka pana Kotoskiego, który tę wieś fundował, bo to temu nie ma więcej, jak sto lat?

— Nie Jegomość, tego dobrego Walka ja nie pamiętam, ale mi ojciec dużo o nim dobrego rozpowiadał, bo dostał także od niego grunt i ogród, który ja mam dziś, daj mu tam Panie za to wieczny odpoczynek! ale pamiętam tego pana Kraińskiego, który się ożenił z dziewką tego Walka Kotoskiego; potem znown z dziewką tego pana Kraińskiego ożenił się jakiś pan Olszoski, a teraz ożenił się znowu z córką Olszoskiego nasz dobry pan i do niego patrzy ta Wola Kotowa.

Obejrzałem jeszcze raz dęba, potem z Krzychem starym oglądałem całą gromadę i powiadam mu:

— Widzicie Krzychu, że to kiedyś było inaczej, jak dziś na tej ziemi — jakoś i z chłopa wyszło się na coś dobrego przy pobożności, pracy i wierności I ten Walek Kot ani pomyślał o tem, że mu Bóg da takie imię, że aż wyfunduje wieś swoją i zostawi po sobie pamiątkę dobrą, że jego dzieci zostaną panami, ale jego dziadka, ojca i jego samego wysługa wierna wyrobiła mu u Boga tę łaskę, że go król polski zrobił w jednej chwili panem i szczęśliwym. Jakby był dziad, ojciec i on sam ladaco jakie, toby był zaginął marnie, jak nie jeden nierozumny chłop — a jakby był zostawszy panem zmarnował te lasy i zastawił żydom albo niemcom jakim, toby tu dziś byli żydzi albo niemcy, a tak stało się dobrze i wy siedzicie każdy na ojcowiźnie, którą macie od dobrego Walka Kota borowego, co został panem i wam rękę podał do życia.

A Krzych powiedział:

— Oby to chłopi mieli rozum i dawali dzieci na naukę, toby z ich dzieci był nie jeden taki Walek Kotoski.

— To prawda Krzychu! odpowiedziałem i poszedłem do szkółki: a to wam spisuję dla ciekawości, abyście wiedzieli co nieco i o naszych stronach.

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

Jak to na Mazowszu.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie
Pochyłone chaty drzemią na dolinie,
Nad rzeką zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące stąpają bociany powabne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitną łuną.
Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska jak szara cyganka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
Po borach jagody dziewczę rwie na wrzosie,
I śpiewa miłemu: pędź głosie po rosie —
Po długiej dolinie tęskne tony cieką.
I słychać piosenkę daleko, daleko...
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem.
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
Jakby jedna dusza była w małym krajn.
Oj! śliczna to ziemia, to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze —
I sosny roślejsze i dziewki kraśniejsze,
I ludzie możniejsi i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mu się rozśmieje tak raźna dziewucha?
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku?
Zkąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły — oj tęskno mi do niej!...

Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.
Oj! Mazur ja Mazur, pomiędzy obcemi
Zmarnuję ja młodość nie na swojej ziemi.

T. L.

Piękne przykłady.

Ustawa Rady gminnej w Bystry, parafii Szymbark, podług nauki ś. p. Karola Antoniewicza.

Chrzest — małżeństwo — śmierć — oto najważniejsze chwile w życiu człowieka — to jakby całe życie jego.

Cieszysz się matko, kiedy wydasz dziecko na świat, ale czy się cieszysz tą radością świętą, zbawienną, która i na ciebie i na dziecko twoje ściągnąć może błogosławieństwo Boskie? Jakim sposobem najczęściej po wsiach, objawia się radość i wesele? Pijaństwem t. j. grzechem! Czyż nie możemy Bogu inaczej się odwdzięczyć jak tylko obrazą i zniewagą Jego? — A co najsmutniejsza, że do wszystkich obrządków najświętszych musi się grzech przyplątać, bo to ludzie bez wódki, ani się weselić, ani się smucić nie umieją. — Jakto? mówią niektórzy, chrzciny bez wódki? wesele bez wódki? nie, to niepodobna! — Ja wam tak powiem:

Co do Chrztu świętego, to wiem, że potrzeba księdza, wody i kościoła, ale żeby potrzeba wódki, żyda i karczmy, tego nie wiem. A u nas po wsiach, jakże się zwykle dzieje? Zaledwie dziecko się urodzi, to zaraz o tem myślą, jakby i gdzieby to dostać wódki na chrzciny, bodajby przyszło się zastawić, zadłużyć na lichwę. — Położnicy dają zaraz po porodzeniu wódkę, aby to biedne dziecię już na macierzeńskiem mleku do tego trunku się zaprawiało. I idzie gromadka sąsiadów i kumów do kościoła, aby ochrzcić dziecię: ale idąc do kościoła, najpierw trzeba diabłu cześć oddać i wstąpić do karczmy, i aż zgroza i wstyd o tem wspomnieć, trafia się nie raz, że podpici kumowie i kumoszki przychodzą do świątyni pańskiej! Czyż widok tego biednego, niewinnego dziecięcia,

czy te ceremonie chrztu nie poruszą serc waszych do wdzięczności, do czci, do uwielbienia Boga waszego? — Przynieśliście to dziecię, aby odrodzone na nowy żywot, mogło kochać, błogosławić, i wiecznie służyć Bogu swemu; jedna dusza przybyła na świat do chwalenia i kochania Boga, ale przyszła jeszcze jako niewolnica ducha nieczystego z grzechem pierworodnym, ale wyjdzie z kościoła obmyta chrztem wody i łaski Ducha świętego, jako dziecko światłości, jako dziecko boże z prawem osiągnienia wiecznej szczęśliwości! Raduj się ojcze, raduj się matko, raduj się cała rodzino, pobłogosławił was Bóg największem błogosławieństwem, oto radość wasza, oto pociecha wasza, oto podpora wasza na starość. — Widok tego dziecka powinienby was pobudzić do chwalenia i wielbienia Boga; na widok tego dziecka, które was ojcem i matką będzie nazywało, powinniście sobie darować, przebaczyć wszystkie dawne urazy i nieporozumienia i postanowić wspólnie, dla uproszenia łaski u Boga, dla dobrego przykładu, lepsze, świętsze, przykładniejsze rozpocząć życie! Oto po chrzcie odbieracie to dziecko z rąk kościoła, święte i niewinne; biada wam, jeśli wy będziecie przyczyną, że tę niewinność utraci! Ale jak wy się Bogu za takie wywdzięczacie dobrodziejstwa? Zaledwie dziecko ochrzczone, cała kompania zabiera się prościuteńko z kościoła do karczmy, kumowie i kumoszki ciągną do harendarza na pokrzepienie i posilenie i rozweselenie! Ale na cóż wam posilenie, czemżeście się tak w kościele zmęczyli? Cóż was tak zasmuciło, że wam aż w karczmie pociechy szukać trzeba? Może dlatego, aby czarta przeprosić, żeście mu tę duszę wydarli, niosąc ją do chrztu świętego, a że jeszcze dziecko grzeszyć nie umie, więc pan kum i kumoszka muszą je zastąpić! — A wyrzekłszy się czarta w imieniu dziecka, sami spieszą co prędzej, aby go zaspokoić, że oni bynajmniej nie myślą z nim rozbrat uczynić. — Ale pamiętajcie, że jak wy dziś wyrzekli się czarta w imieniu dziecka, tęż samą obietnicę i za was uczyniono, a jakeście jej dochowali? Kum i kuma przyjmują na siebie niejako obowiązki rodzicielskie i dlatego nazywają się chrzestny ojciec i chrzestna matka; czy sądzicie, żeście już te obowiązki wypełnili, i nic wam na sumieniu już więcej do

czynienia nie pozostaje? Matka po połogu leży w nędznej nieraz i ubogiej chacinie, potrzebowałaby i lepszej wygody i starania, i zdrowszego pokarmu, a tu niemasz za co kupić, ani kwarty krup, ani funta mięsa, bo ostatni grosz jaki był w domu, poszedł na wódkę. A gdy kumowie i kumoszki za zdrowie matki przepijają do siebie, ona tymczasem bezpiecznie dla braku pomocy, z tego świata zejść może! Czyż to nie można z kościoła, pomodliwszy się i poleciwszy Bogu to dziecko, wrócić do domu trzeźwo, cicho, spokojnie i poradować się i zabawić po bożemu, i poczęstować gości tem co Bóg dał, chlebem, masłem, serem, a jeśli stanie, to i szklaneczką wina, miodu, albo piwa; czem chata bogata, tem też i rada; — czyż człowiek dla brzucha stworzony, i tylko wtedy dobrze się bawi, kiedy się dobrze naje, i wtedy tylko szczęśliwy, kiedy się upije? — Masz pieniądze, kup zamiast tej wódki jałóweczkę albo owieczkę, niech rośnie i przymnaża się na posag dla twojej córeczki. — Kup parę pni pszczółek, niech słodki robią dla dzieciny twojej miodek, zanim podrośnie, zbierze się piękny grosz, za który możesz dziecko do szkółki posyłać. Kup parę owocowych drzewek i posadź je w sadzie na pamiątkę chrztu, będą rosły z dzieckiem twojem; a jak Bóg pobłogosławi, to dziecko i drzewko nagrodzi twoję pracę i starania, pięknym, dorodnym owocem.

Idąc za tą piękną nauką ś. p. Karola Antoniewicza, Rada Gminna w Bystry uchwaliła, aby kumowie i kumoszki przed chrztem i po chrzcie z dzieckiem do karczmy nie wstępowali.

Jeszcze to prawda, mówi ś. p. ksiądz Karol Antoniewicz, iż na chrzcinach można by się obejść bez wódki, ale co na weselu, to już niepodobna. Wszakże to wesele dlatego weselem się nazywa! Że się tak nazywa, to wiem — ale czy też prawdziwie? oj! to wesele nieraz nie bardzo wesoło się kończy! Nie wielka to sztuka, wydać córkę, ożenić syna, sprawić wesele, — ale nie na trzy dni, ale na całe życie, — ale to aż do śmierci taki związek trwa. Piękne mają młodzi nadzieje na przyszłość, ale niestety, te nadzieje często prędzej zwiędnieją jak te wianki ślubne. Jeżeli nie z uczciwych powodów przy-

stępujesz do związku małżeńskiego, jeśli zmysłowość lub chciwość do tego cię przywiodła, oj wtedy nie ma wiele co sobie obiecywać na przyszłość.

Oj bracia, nie wódki, nie muzyki tu potrzeba, ale czegoś innego! A czego? łaski, pomocy, światła, błogosławieństwa bożego. Ale to błogosławieństwo nie siedzi na kufie, aby je z niej wyczerpnąć można! Niechaj tam drużbowie i drużki, i swatowie i starostowie weselni wypiją i całą beczkę wódki, przez to nie przybędzie łaski bożej dla młodych! Myślą, że jak będą noc całą tańczyć i śpiewać, to wyśpiewają, wyskoczą dla nich szczęście! Wesele katolickie, a gdzież ono częstokroć się odbywa? w karczmie u żyda! — a takie wesele bez grzechów, a nieraz ciężkich i obrzydłych się nie obejdzie! Czart przy takiem weselu jest gospodarzem, starostą, a szynkarz marszałkiem jego. I ten gospodarz bardzo przebiegły i skrzętni•i czynny, w całej izbie go pełno chociaż go nikt oczyma nie widzi, wszystkich zachęca, zaprasza, ośmiela do grzechu, podochoci muzykantów, aby rzępolili bez przerwy, podsunie pokusę pannie młodej, pomiesza rozum pana młodego, rozniecí iskrę nieczystą w sercu drużki, uzuchwali drużbę, nauczy swata plugawej piosenki, starościnie weselnej szepnie do ucha kilka plotek, a zna on dobrze swoich gości, wie co komu do smaku. A gdy już wszystkich dla siebie pozyskał, a Aniołowie Stróżowie z boleścią i obrzydzeniem odwracają oczy swoje, wtedy dopiero prawdziwe wesele w karczmie, krzyk, wrzawa, bitki, rozpusta; i cóż dziwnego, że tam gdzie diabeł gospodaruje i piekło być musi! Wesele w karczmie, ale jeszcze większe w piekle, ale żal i smutek w niebie! O jakże może być wesele bez muzyki, a jakże można tańczyć bez wódki? To prawda, że po trzeźwemu taniec jest uczciwy i Boga nie obraża, ale wam się chce czegoś innego, nie żeby nogi słuchały rozumu, ale żeby rozum był pod nogami, to jest, żeby rozum już przestał być rozumem, a na to najprędszy i najłatwiejszy sposób upić się! Żeby ci ksiądz przy spowiedzi kazał, żebyś na pokutę przez godzinę się w kółko kręciła, tobyś się wymawiała, wypraszała od takiej pokuty, ale tu nie za grzech, ale na grzech, nie przez godzinę, ale przez całą noc się kręcisz i to z wła-

snej woli i ochoty! Ale czy to na tem kręceniu się kończy? Dałby Bóg, żeby to tylko nogi się kręciły, ale to z nogami pomału i rozum i serce się zakręci i najczęściej takie kręcenie kończy się na upadku.

Dlatego Rada gminna w Bystry uchwaliła, aby wesela katolickie w karczmie się nie odprawiały.

(Dokończenie nastąpi.)

Lapończykowie.

Lapończykowie zamieszkują krainę bardzo ubogą i zimną, położoną na północ Szwecji i Norwegii. Już w tych dwóch krajach, o których wam dawniej opowiadaliśmy, dość jest zimno, a cóż dopiero musi być w nieszczęśliwej Laponii. Jakoż przez większą część roku kraj ten jest okryty śniegiem i lodem. Z drzew rosną tam tylko niektóre, jako to jodły, świerki i brzozy, ale nie są one tam takie wysokie jak u nas, gdzietam, ani połowy tej wysokości co nasze nie dochodzą, a to wszystko dlatego że tam takie straszne jest zimno. O uprawie roli trudno też myśleć; gdzie niegdzie tylko jęczmień się udaje, gdzieniegdzie rosną ziemniaki; ale i jęczmień rzadko kiedy dościga, bo lata zbyt krótkie i ziemniaki prędzej zmarzną jak wyrosną.

Dla tegoż bardzo biednym jest lud, któremu Opatrzność kraj ten przeznaczyła na mieszkanie. Lapańczykowie są małego wzrostu i najtęższy chłop ma tam ledwie dwa łokcie wysokości; niechlujni i nieporządni koło siebie i mało dbający o czystość, a do tego brzydcy, ale za to bardzo silni i wytrwali tak na zimno, jak i na wszelki niedostatek z którym ciągle walczyć muszą. Nie są też oni tak przemyślni aby się mogli trudnić handlem i rzemiosłami jak to u nas bywa, ale bo też i trudno byłoby im oddawać się przemysłowi kiedy niema o czem. Przecież co tylko Lapończykowi w gospodarstwie potrzebne, sam sobie wszystko robi nie oglądając się na nikogo, nawet kobiety bardzo zręcznie wykrawają z drzewa różne

domowe naczynia. Lapończyk musi być z potrzeby i garbarzem i powroźnikiem i tkaczem, nawet bednarzem i krawcem. Sam sobie garbuje i wyprawia skóry zwierząt, z ich szerści przędzie nici a z nich tka derki, sam szyje sobie ze skór odzież i rękawice futrzane, sam wyrzyna drewniane naczynia i robi sanki.

Lapończykowie aniby się ostać nie mogli w swojej nędznej ojczyźnie, gdyby nie mieli jednego poczciwego zwierzęcia które tem jest dla nich, czem dla nas koń i krowa, albo owca. Zwierzę to nazywa się ren i jest bardzo podobne do jelenia, bo ma takie rozsochate rogi jak on, i żywi się mchem, który sobie z pod śniegu nogami wygrzebuje, albo też igiełkami i gałązkami jedliny, gdy śnieg zbytecznie zmarznie i odgrzebać go nie może. Lapończykowie trzymają liczne trzody tych renów: są między nimi bogacze, co ich mają po tysiąc i dwa tysiące, a ci co ich ledwo dziesięć mieć mogą, liczą się do biedaków.

Reny są używane do pociągu i zaprzężone do sanek biegną tak szybko po lodzie i śniegu, że w jednym dniu przebywają pietnaście do dwudziestu mil. Mięso ich jest bardzo tłuste i smaczne, z mleka renów robią Lapończykowie masło i ser a mleko to jest tak gęste i posilne, że dorosły człowiek nie może go wypić naraz więcej jak pół kwarty. Z krwi renów gotują polewkę i robią kiszki, z ich kości zaś igły, łyżki, noże, z kopyt naczynia a z rogów broń.

Kiedy reny wychodzą na paszę, trzeba ich pilnować od wilków, dlatego zawsze kilkoro ludzi towarzyszy trzodzie, aby ją przy pomocy psów bronić od napaści dzikich zwierząt. Psy lapońskie bardzo są do tego wćwiczone, za to też nie źle im się dzieje bo razem ze swymi panami jadają i śpią a z wiernym psem Lapończyk podzieli się chętnie ostatnim kęsem strawy.

Lapończykowie nie ubierają się bardzo pięknie, czemu się też dziwić nie można; szczęśliwy który się otulić może jako tako aby zimna nie czuł, bo tam zimno bywa nieraz dwa razy silniejsze jak u nas w największe mrozy. Owóż Lapończykowie koszul nie noszą, bo nie mają z czego płótna robić ani za co kupić, jeno od razu na gołe ciało wdziewają kożuchy futrem na wierzch wywrócone, a na ten kożuch wdziewają

jeszcze drugi, obszerniejszy; ręce chowają w ciepłe rękawice futrzane, a czapki noszą spiczaste, z kapą, która okrywa całą głowę i szyję. Buty szyją sobie także ze skór renów, a żeby nogom było cieplej, obwijają je słomą i mchem. Kobiety tak samo ubierają się jak mężczyźni, jeno ich przyodziewa jest trochę piękniej wyszywana.

Chaty mają bardzo nędzne i szczupłe; u nas najbiedniejszy chałupnik lepsze ma domostwo. Te chaty lapońskie tak się stawiają: Wbija się w ziemię kilka palów, ku sobie w górze pochylonych, okrywa się je korą z drzew i skórami zwierząt, ot i dom gotowy. Wejście bywa tak niskie że choć Lapończyk małego jest wzrostu, schylać się musi aby się dostać do środka; w chacie też prosto stać nie można, jeno siedzieć albo leżeć. Na środku izdebki jest kamień na którym pali się ogień, a cała rodzina siedzi koło tego ogniska — gdy nie ma co lepszego do roboty, to starsi opowiadają młodszym przeróżne bajki. Lubią bardzo tytoń i palą go ciągle w fajkach, a najczęściej cała rodzina pali z jednej fajki, którą jeden drugiemu podaje. Dym z ogniska wychodzi otworem w górze będącym. Gdy się palić przestanie, chłopak wspina się do góry i zatyka ten otwór aby było cieplej. Trzody sypiają pod gołem niebem w około chaty.

Do niedawna Lapończykowie byli poganami i nie wierzyli w prawdziwego Boga, ale po trochu dali się nakłonić do wiary świętej i pogan nie ma już po między nimi. Nie są jednak bardzo pobożni. To także jest w nich bardzo złe, że niezmiernie lubią wódkę, i za wódkę Lapończyk na wszystko gotów. Mają jednak niektóre dobre przymioty. I tak nie kradną i żebraków nie ma pomiędzy nimi. Dzieci swoje kochają czule i dbają o nich prawdziwie po rodzicielsku, a co u nich najpiękniejsze, że ojczyznę swoją, choć taka nędzna, choć taka uboga, za raj ziemski uważają, i nie mogą pojąć że gdzieś na świecie może być lepiej jak u nich, a Lapończyk przemocą porwany i uprowadzony w obce strony, umiera z tęsknoty za swemi śniegami i lodami. Ten piękny przymiot biednych Lapończyków i dla nas mógłby być przykładem, bo i u nas trafiają się ludzie, co zwiedziwszy trochę świata, ganią wszystko

co cudze, a jak im bieda, często z własnej ich winy dopiecze, to narzekają na ubogą ojczyznę swoją, co jest ciężkim grzechem i ziemia ojczysta, choćby najbiedniejsza, każdemu najdroższą być powinna.

Kara Boża.

Chociaż każda pora roku ma swoje przyjemności, ale bodajto lato, a jeszcze na wsi. Cudowna natura tak cię na każdym kroku zachwyca, że człek radby na przemian być to ptaszkiem wesołym, który śpiewając mile, buja po przestworzu szerokiem i wysokiem; to radby być wietrzykiem, który kołysze wysokie drzewa i śliczne roślinki; to górą zieloną, która śmiało spoziera w niebo i ludziom zmianę powietrza wróży; to nareszcie strumykiem mruczącym, co jak wstążka srebrna przerzyna łąki i pola, i krzepi omdlałych pastuszków i pracujących w polu rolników.

W taki też czas ostatniego lata puściłem się na naszą kochaną górę Liwocz, u którego stóp przyległa wieś Brzyska z naszą Błażkową rozłożyły się najbliżej od strony Kołaczyc, a przy pomocy świadomego gospodarza z Błażkowy, który się z tym Liwoczem zna jakby kum z kumem, bo tam i po drzewko i po liście od lat dziesięciu jeżdżał, a nawet jako stary sługa i myśliwy ze swoimi panami niejedno odbył polowanie, przeszedłem Liwocz aż do lasów błaszkowskich. Otóż przy takim towarzyszu musiałem być zadowolony, lecz o tem pisać nie będę, bo to każdy z was mili czytelnicy czuć może, komu jak mnie miłe są podobne wycieczki i kto całem sercem i duszą przywiązany jest do tego ukochanego kraju, gdzie tyle uroczych, cudownych i najprzyjemniejszych miejsc a do tego lud wiejski pracowity, który obok wielu złych narowów, ma przecie szlachetne uczucia i w Bogu nadzieja, będzie kiedyś chlubą narodu.

Nie będę więc opisywał wszytkiego com widział, ale wspomnę o jednej historji, którą słyszałem z ust mojego towarzysza

gdyśmy przyszli na jedno miejsce, mianowicie na granicę trzech wsi, Czermny, Błażkowy, Jodłowy, — a którą to historję powtórzyło mi potem wielu okolicznych mieszkańców.

Oto przyszedłszy tamże do pewnego w lesie kamienia, towarzysz mój zatrzymuje mnie i powiada:

— Niechno się pan przypatrzy temu kamieniowi, tu oto jest wyżłobienie nóg ludzkich, dalej wygniecione znaki łańcucha a u dołu łapy wilcze i widoczne znaki pazurów wilczych a w końcu wyryty rok 1772 czyli 1722, bo tego nie można rozpoznać i jakieś litery; które tożsamo czas tak zatarł że trudno je przeczytać.

Oglądnąwszy ten kamień duży, wklęsły w ziemię i mchem od starości porosły, nie mogłem wątpić o pewności tych śladów, o jakich mój przewodnik wspominał. Spytałem go więc:

Powiedzcie mi teraz co to wszystko oznacza?

Towarzysz mój tak mi zaczął rozpowiadać:

— Był tu dawnemi czasy u nas parobek, ale to aż rzec niemiło, ladaco, bywało gospodarstwa, którzy go żywili, miał sobie za nic, w jedzeniu grymaśnik, tego nie lubi, to nie słone, to jałowe a robotę to zbywał, że pożal się Boże patrzeć na niego. O chudobę też nie dbał; co najgorsza, że wielki był z niego bezbożnik. I tak do kościoła ani go wygoń, a post św., nakazany ludziom przez kościół dla umartwienia ciała za grzechy i dla powściągnienia złych namiętności, to mu już najbardziej zdał się być niepotrzebnym. Gospodarz cierpiał, łajał, prosił, myśląc że to złe chłopisko przecie się raz ustatkuje, ale nic nie pomogało.

Jednego dnia o świcie kazał mu gospodarz sposobić się do lasu z wozem po drzewo. Począł on się tam zbierać, nie zmówiwszy pacierza nawet, zaczął niechętnie wiązać ubranie końskie, ładować wóz, aż już wreszcie miał wyjeżdżać. A było to w adwent w dzień św. Tomasza, dnia 21. Grudnia, co go na wsi zwykle zowią ś. Toma i wypadały jakby też tego roku suchedni. Gospodyni ukrajała spory kawał pięknego chleba i podając temu parobkowi, rzekła:

— Weź chleba na drogę, abyś potem w lesie ujadł jak będziesz głodny, ale ja ci jałowy daję bo dzisiaj suchędni i św. Tomy, my wszyscy jałowo jeść będziemy, toż i ty z nami trzymaj.

Na to ów bezbożnik się odzywa:

— Święty Toma siedzi w doma, ale ja co muszę w lesie dźwigać, jak mi nie dacie kiełbasy do chleba, to nigdzie wam nie pojadę.

Otóż gdy dalsze przedstawienia gospodyni nic nie pomagały a paliwa koniecznie brakowało, więc ona kobieta wyniosła mu kawałek kiełbasy, mówiąc:

— Weź bezbożniku, bobyś myślał że ci żałuję, ale wiedz o tem, że Bóg cię skarze kiedyś za to okrutnie.

Ale mów tam jemu co chcesz, kiedy zły duch opętał go na piękne; z radością wziął kiełbasę i tylko kawałek odjechał od domu, zajadał ją z taką żarłocznością, jak gończy pies zająca.

Cóż się nie dzieje? Przyjeżdża on do lasu i oto w to miejsce gdzie teraz stoimy. Nikogo tu nie zastał i zaczął obmyślać, gdzie to drzewo ścinać, aż w tym momencie wyskakuje kilka wilków z pomiędzy zarośli i prosto walą na niego. On odbiega koni i tylko miał czas łańcuch od wozu ze sobą porwać i dalej drapać się na ten kamień, ale kara Boża za jego ciężkie grzechy już go minąć nie miała. On się wydrapał i broni się łańcuchem, ale wilcy za nim tożsamo i nie dbają na łańcuch, konie parskły i uciekły tą samą drogą aż do domu a jego wilcy roztargali i zjedli z chlebem i z kiełbasą.

Gospodarz gdy konie same zobaczył, poszedł za śladem i tylko podarte łachy i łańcuch został i ten ślad który tu oto widzimy, a na którym później ktoś rok i napis tego zdarzenia wyrył. Nie wiem mój panie, — tak kończył opowiadanie swoje mój towarzysz, czyli ten kamień był wtedy taki miękki, że się to wszystko na nim jak w glinie odbiło, ale mnie się tak zdaje i wszyscy od dawna tak mówimy, że to musi być cud od Pana Boga, aby inni ludzie stąd sobie przykład brali, jaka to straszna kara na grzeszników, jeśli już żadnej poprawy Bóg się doczekać nie może.

Zdumiałem się na tę historję i tak jak ją słyszałem opisuję, i nie wątpię, że to się stać mogło, i że Bóg prawdziwy cud pokazał, zwłaszcza, że to jest na granicy trzech wsi, aby nietylko jedna wieś, ale i inne przykład stąd sobie brały. A zre-

sztą cały świat jest o tem przekonany, że dawniej i dziś bezbożnik, który się poprawić nie chce, poczciwie że świata nie zeszedł, ani też szczęścia na świecie spodziewać się nie może i tak to aż do skończenia świata będzie.

Edmund Janicki nauczyciel z Błażkowy.

RÓŻNOŚCI.

Małpy Orangutangi. Ze wszystkich małp, Orangutang jest najpodobniejszy do człowieka. Orangutangi w ogóle żyją gromadnie na drzewach, lecz stawiają sobie także szałasy z liści, w których kryją się przed upałem słonecznym. Żywią się słodkiemi i mączystemi owocami, lecz, jak się zdaje, zjadają także jajka ptaków i drobne ptaki, a głodem przyciśnięte schodzą na brzeg morza i poprzestają na kilku żabach i skorupiakach. Za krzywdę jednej małpie wyrządzoną ujmują się wszystkie, a czy to napadnięte przez ludzi, czy dla odpędzenia słoniów biorą do rąk gałęzie i wywijają niemi bardzo zręcznie. Gdy jedna z tych małp zostanie zraniona, towarzyszki wydobywają jej kulę, przykładają do rany zioła przeżute w zębach, i obwięzują łykiem. Ciała zmarłych grzebią w ziemi i przykrywają liściami, kamieniami i cierniem. Gdy mają młode, noszą je na rękach, wybierając się zaś w dalszą drogę, sadzają je sobie na karku a dzieci wówczas trzymają się matek rękami i nogami. Zdarza się czasem, że wykradają ludzkie dzieci, żyją z niemi przez pewien czas i wychowują jak swoje własne. Dzieci takie wracają czasami do domu po całorocznym a czasem i dłuższym między małpami pobycie, wesołe, dobrze wypaszone i chwalą niezmiernie dobroć tych osobliwszych piastunek. Ale nie trzeba się bardzo uwodzić tą zbytnią czułością Orangutangów. Złe to i szkaradne zwierzę, zdradzieckie, mściwe, posiada wprawdzie niektóre przymioty człowieka ale tylko złe. Ludzie umieją korzystać z zręczności tego zwierzęcia i złapanego uczą obracać rożen, myć szklanki, nosić do kuchni drzewo i wodę i tp. Nawet podczas najstraszniejszej burzy na morzu, gdy rozhukane fale na wszystkie strony okrętem miotają, wspina się na szczyt najwyższych masztów i robi tam co mu każą. Jedną taką wyuczoną małpę wieźli raz z sobą majtkowie do Europy. Pocieszne to było stworzenie. Gdy majtkowie siadali do stołu i ona czyniła to samo, gdy pili wódkę i ona brała się do kieliszka i wychylała go do dna. Ale za razem był z niej nieoceniony chłopiec do posługi.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.